

Deszcz grzeszników

Zawsze siedział nieruchomo na ławce, wpatrując się w obraz przed sobą. Jego beznamiętna twarz nigdy nie zmieniała wyrazu. Nawet kiedy padał deszcz, on nie miał parasolki i moknął. Z jego ubrania i siwych, zwykle kręconych, przydługich włosów ściekała woda. Po prostu siedział i nic go nie obchodziło.

Obserwowałem go z okna, mając wrażenie, że jest najsmutniejszym człowiekiem na świecie. Kładłem się spać w momencie, kiedy on opuszczał swoje obserwatorium, a gdy się budziłem, znów tam był. Pytałem mamę, kim jest ten mężczyzna, ale nikt z okolicy nie znał go nawet z imienia. Chodziły słuchy, że to zwykły pijaczyna, bezdomny, który upodobał sobie właśnie to miejsce. Nie wyglądał jednak na kogoś takiego, nigdy nie zauważyłem obok niego choćby puszki piwa. Jego koszula oraz spodnie wyprasowane były w kant. Mama mówiła, że żona musi go bardzo kochać, skoro się tak o niego troszczy.

Spędziłem pół dzieciństwa, zastanawiając się, dlaczego ten pan przychodzi i tak siedzi. Gdy dorastałem, przestałem zwracać na niego uwagę. Opuściłem rodzinne miasto i zapomniałem.

Aż do tego deszczowego, październikowego dnia, w którym odwiedziłem swoją mamę po roku nieobecności. Jako dwudziestodwuletni student wracałem do domu z pewną nostalgią, a jednocześnie z oczekiwaniem na ten sam zapach obiadu, ten sam zapach maminych perfum.

Tego dnia lało jak z cebra. Nawet parasol nie bardzo pomógł – os pasa w dół przemokłem do suchej nitki. Woda spływała strumieniami z chodników na jezdnię, by potem znaleźć się w odpływie wraz z brudnymi ściekami. Droga z przystanku autobusowego do mojego domu okazała się prawdziwą katorgą. Zmarzłem, zmokłem, a dodatkowo zostałem ochlapany przez jadącego zdecydowanie za szybko tira. Kląłem pod nosem jak szewc, tworząc niepiękne wiązańki niecenzuralnych słów.

Jednak kiedy stanąłem przed drzwiami domu i się odwróciłem, zobaczyłem jego.

Wciąż tam był. Wciąż tam siedział. Wciąż taki sam, może z deka starszy. W czystym, choć teraz przemoczonym ubraniu. Z wodą ściekającą z włosów.

W pierwszym momencie miałem ochotę wejść do środka i zapomnieć. Zapomnieć o tym przykrym widoku, o samotnych ludziach, o przygnębiającej jesieni. O zmarnowanych latach, o straconych miłościach i przyjaźniach. O błędach, które popełniłem i które stworzyły teraźniejszego mnie. Miałem ochotę wejść, uśmiechnąć się nieszczercze do mamy i powiedzieć

„wróciłem”, chociaż wcale nie chciałem wracać do wspomnień, do przeszłości, do pomazanych markerem ścian w moim pokoju.

Nie pozwoliły mi jednak resztki sumienia. Widok moknącego bez przyczyny mężczyzny napawał mnie dziwnym smutkiem i niepokojem.

Ruszyłem przez ulicę, nie bacząc na ruch, na trąbienie samochodów. Przechodnie nie zwracali na mnie żadnej uwagi. Dla nich byłem tylko kolejnym wyróżniającym się z tłumu szaleńcem, który jako dziecko wypadł z kołyski. Ale musiałem to zrobić. Nie dla nich, nie dla tego nieszczęśnika, a dla siebie samego. Musiałem rozwiązać zagadkę z dzieciństwa, dowiedzieć się, co dokładnie jest grane, co daje mu siedzenie na tym deszczu i wpatrywanie się w dal, w płynącą niezmiennie rzekę.

Stanąłem za nieznanym i wyciągnąłem parasol tak, aby znajdował się nad jego głową.

Myślałem, że się zbulwersuje albo nazwie mnie głupim bachorem, dzieciakiem i pogoni do domu. Lub chociaż podziękuję. Grubo się pomyliłem.

– Myślisz, że komuś takiemu jak mi zależy na tym, aby nie moknąć?

Na początku nie rozumiałem, do czego zmierza, do czego pije, co ma na myśli. Może miałem do czynienia z szaleńcem? Jednak im dłużej stałem, tym bardziej docierał do mnie sens jego słów.

– Ludzie nie lubią być mokrzy. Nie przepadają za deszczem.

– To podstawowy błąd ludzkości, drogie dziecko.

– Nie rozumiem.

Mężczyzna poklepał ławkę obok siebie. Zachęcony tym gestem, przysiadłem się do niego. Od razu poczułem, jak namoknięte drewno przykleja mi się do spodni, a te zaś do ciała. To był naprawdę niesamowity dyskomfort. Postanowiłem to jednak przecierpieć. Zaczynałem zdawać sobie sprawę z tego, jak głupi byłem, że nie podszedłem do niego wcześniej.

– Wiesz, chłopcze, widziałem jak dorastasz – powiedział ni z tego, ni z owego, patrząc swoimi szarymi oczami prosto w moją twarz. – Widziałem, jak się wywracałeś, jak płakałeś. Czulem na sobie twój wzrok. Słyszałem, jak krzyczałeś na matkę, gdy ta nie pozwalała ci wychodzić ze znajomymi i wydawać pieniędzy w błoto. Zniknąłeś bez potrzeby, tak myślę. Twoja matka płakała niemal tak często, jak jesienią pada deszcz.

– Nadal nie rozumiem, co chce mi pan przez to przekazać. – Zmrużyłem oczy, bo woda zaczęła kapać mi z włosów, chociaż przecież w połowie siedziałem pod parasolem.

– Ludzie grzeszą, wiesz? A drudzy wylewają za nich łzy. Płaczą, ryczą. Możesz sobie nie zdawać z tego sprawy, ale to właśnie nazywają deszczem. Kiedy byłeś małym szkrabem, ktoś na pewno mówił ci, że deszcz to ludzkie łzy. To łzy ludzi, którzy wypłakują cudze grzechy.

– To bez sensu.

– Czy wierzysz w Boga, Franek?

Raz. Dwa. Trzy.

Trzy sekundy wstrzymywałem oddech, by potem uświadomić sobie, że w rzeczywistości nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Jako mały szprot biegałem z radością do kościoła i śpiewałem w chórze razem z innymi dziećmi, bo mama powtarzała, że chórzyści są bliżej Pana Boga. Kiedy dostawałem solowe występy, czułem się wyróżniony. Jednak im starszy się stawałem, wpadałem w coraz to gorsze towarzystwo, które uświadamiało mi, że jedyną podwaliną świata jest logika. Czy jednak tak całkowicie potrafiłem odrzucić istnienie siły wyższej?

W moich rozmowach często dało się dosłyszeć *Boże, Jezu, Mario Przenajświętsza*, a przecież nie mówiłem tego z premedytacją. Zostało mi to z wcześniejszych lat. Może rzeczywiście w tych słowach starałem się nieświadomie odszukać pomoc?

– Ja wierzę całym sobą, chociaż kiedyś się wahałem. Przez długie lata nie zwracałem się do Niego, bojąc się odrzucenia, twierdząc, że dam sobie radę sam. Jestem człowiekiem starej daty. W latach drugiej wojny światowej miałem osiemnaście lat i marzyłem tylko o tym, aby pobrać się ze swoją narzeczoną, mieć kilkoro pięknych dzieci i żyć długo i szczęśliwie. Ale życie nigdy nie daje nam tego, czego chcemy. – Staruszek zamilkł na chwilę. Odchrząknął kilka razy, przełknął ślinę, po czym kontynuował. – Myślałem, że Boga nie ma, że gdyby był, nie pozwoliłby na taką bestialskość. Ale nie po to Pan dał nam wolną wolę, aby później ni z tego, ni z owego ją odebrać. Zabijałem, bo chciałem się mścić. Z moich rąk zginęło mnóstwo ludzi, winnych czy niewinnych – nie mnie o tym decydować. Jednak nocą wciąż widzę, jak odchodzą. Widzę krew, śmierć, ból. Słyszę krzyki. Nie potrafię się od nich uwolnić. Chciałem tylko być bohaterem, a teraz... Teraz jestem tylko zwykłym grzesznikiem, Franku.

Moje imię w jego ustach brzmiało melancholijnie.

– Siedzę i moknę, mając nadzieję, że ktoś kiedyś w końcu nade mną zapłacze. Że deszcz w końcu zmyje ogrom moich grzechów. To płowa nadzieja, ale żyję nią samotnie od kilkadziesiąt lat.

– Dlaczego właśnie to miejsce? Dlaczego ta stara, spróchniała ławka? Nie mógłby pan sobie znaleźć wygodniejszego miejsca?

– Dla młodych ludzi liczy się głównie wygoda. Widzisz ten brzeg? – Mężczyzna wskazał palcem wyboiste piaski przy rzece. – Kiedyś była tu piękna równina, gdzie ludzie spotykali się w niedzielne popołudnia. To właśnie tutaj spotkałem miłość swojego życia. Myślę, że i ona tu kiedyś wróci, wiedziona wspomnieniami. A wtedy poproszę, by nade mną zapłakała, zmyła ze mnie całą winę.

– Nie wystarczą panu te wszystkie dotychczasowe lata?

– Dopóki nie zobaczę jej ostatni raz, dopóki ona mi wszystkiego nie wybaczy, nawet odpuszczenie grzechów przez samego Boga będzie niewystarczające.

Zapadła cisza, a ja zastanawiałem się, co takiego zrobił, że chciał prosić swoją ukochaną o wybaczenie. Bałem się jednak zapytać o tak prywatną sprawę, czułbym się niezręcznie. Zresztą, już czułem, ale nie chciałem tego okazywać.

– Mogę zapytać, jak ma pan na imię? Jako dziecko zawsze się nad tym zastanawiałem. Pytałem mamę i sąsiadki, ale nikt nie potrafił mi na to odpowiedzieć.

– Jestem Aleksander. – Uśmiechnął się, a wszystkie jego zmarszczki pogłębiły się jeszcze bardziej. – Myślę, że powinieneś wrócić do domu, twoja matka na ciebie czeka. Wczoraj niosła sama torby pełne zakupów, pewnie przygotowała wspaniałą ucztę na twój powrót.

– Może... Pójdzie pan ze mną? – zaproponowałem, nawet tego nie przemyślawszy.

– Dziękuję za zaproszenie, ale nie skorzystam. Wolę być sam i wspominać. To wspaniałe zajęcie. A teraz idź. – Zrobił gest, jakim wygania się małe dzieci.

Po prostu wstałem i odszedłem, odwracając się jeszcze jeden ostatni raz. Staruszek znów wpatrywał się w wodę.

Co, jeżeli deszcz rzeczywiście zmywa grzechy? Co, jeżeli Bóg w tym momencie patrzy właśnie na mnie i tylko czeka, aż zrobię ku niemu pierwszy krok?

Złożyłem parasol i powoli przeszedłem przez ulicę, czując, jak krople wody smagają moją skórę.